GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 STYCZNIA 1933
NR. 1 ROK III

CENA NUMERU 90 GR. PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

NR. 1
1933 R.
1 — I

DWA LATA

Na tem miejscu, na którem zazwyczaj omawiamy zjawiska, które zaszły na dwutygodniowym odcinku czasu, tym razem chcemy omówić rzecz trwającą prawie pełne dwa lata. Na tem miejscu, na którem zazwyczaj rozpatrujemy zjawisko centralne w danym momencie nietylko dla Polski, ale często i dla całości gospodarki światowej, tym razem chcemy mówić o sprawie centralnej i o najważniejszej tylko dla nas. O sprawie naszego pisma.

Dlaczego przez dwa lata kontynuujemy nasz wysiłek — bo wysiłkiem jest wydawanie pisma niezależnego, nie opartego moralnie ani materjalnie o żadne istniejące ugrupowanie. Dlaczego nie liczymy się nietylko z trudnościami finansowemi, ale i z dużo dotkliwszą trudnością w pracy, jaką jest ograniczone echo naszych poczynań. Odpowiedzi możemy dać kilka. Wtedy, kiedy powstawało pismo, mieliśmy wyraźną świadomość jednej odpowiedzi. Stanowiliśmy luźną grupę kolegów, przyjaciół i znajomych o znacznym odsetku zawodowych i przygodnych publicystów gospodarczych, a jeszcze większym odsetku inteligenckich pożeraczy pisanego słowa. W polskiej prasie gospodarczej nie wszystko, coby się chciało napisać, można wydrukować, bowiem istniejące perjodyki są organami takiej czy innej polityki, a ilość ich jest niedostateczna dla tego, ażeby niezależny ekonomista znalazł zawsze dla siebie miejsce. Polska publicystyka gospodarcza nie zaspokaja wszelkich potrzeb pewnej kategorji czytelników, bowiem jeśli nie chodzi o zagadnienia teoretyczne, zakres tematów i sposobów ich ujęcia podporządkowany jest bezpośrednio potrzebom polityki ugrupowania, stojącego poza danym organem prasowym. Mówiąc prościej, polska publicystyka gospodarcza, to albo Rząd, albo Lewiatan, albo organizacje wielko rolnicze. Niezależnie od stanowiska, jakie zajmuje się w stosunku do polityki prowadzonej czy lansowanej przez każdą z tych sił, prasa uzależniona od nich, nie zaspokaja wszystkich potrzeb nietylko intelektualisty, ale i—zaryzykujemy wielkie słowo — obywatela, poczuwającego się do współodpowiedzialności za losy swego kraju. Grupa, wśród której narodziła się myśl wydawania Gospodarki Narodowej, z natury rzeczy stan ten wyczuwała szczególnie silnie.

Taką była przyczyna narodzin pisma. Rację istnienia znaleźliśmy gdzieindziej. Pierwsze numery wywołały wiele nieporozumień. Przy jednym z najpierwszych jedno z pism wystawiło sobie testimonium pauperitatis, nazywając nas neoetatystami. Najczęściej spotykał nas epitet „pisma urzędników", tak, jakby ten termin, usprawiedliwiony zresztą znacznym odsetkiem urzędników państwowych w naszej grupie, oznaczał sam przez się cośkolwiek. Zarzutów spotkało nas niewiele. Nie spotkał nas przedewszystkiem zarzut, którego moglibyśmy się najwięcej obawiać, zarzut, że jesteśmy pismem „inteligentów". Zarzut, że istotnie nie reprezentujemy żadnego ugrupowania, ale też, że nie jesteśmy zrośnięci z żadną siłą społeczną, że jesteśmy, my i nasza praca na łamach pisma, emanacją tego specyficznego tworu, jakim jest polska inteligencja. Zarzut, że pismo niezależne, posiadające w znacznym stopniu charakter wolnej trybuny, pismo, zamieszczające w tej samej sprawie nieraz wręcz sprzeczne opinje, nie zaspokaja żadnej potrzeby doniosłej

społecznie, a jedynie potrzebę intelektualistów, którzy „o wszystkiem muszą mówić".

Zarzut ten byłby dla nas kłopotliwy w początkach istnienia Gospodarki Narodowej, dziś jednak znaleźlibyśmy nań odpowiedź w zdaniu, które o Gospodarce wypowiedział jeden z najwybitniejszych w Polsce ekonomistów i mężów stanu zarazem: *„Nie wiem, co Gospodarka o danem zagadnieniu napisze, wiem natomiast, czego o niem nie napisze"*.

Nie stworzyliśmy jednolitej linji pisma. Mimo, że na łamach Gospodarki i w dyskusjach klubu z nią organicznie związanego często, bardzo często, powracają słowa „program gospodarczy Polski", nie stworzyliśmy tego programu, ba, nawet programu doraźnej polityki gospodarczej. Więcej, nie ośmielilibyśmy się twierdzić, że dokonaliśmy wielkiego kroku na drodze do konstrukcji programu. Są prace dokonane indywidualnie, nie przez naszych członków, które napewno dają więcej materjału dla budowy przyszłego programu gospodarczego Polski, niż cały nasz zespołowy wysiłek. Natomiast ośmielamy się twierdzić, że w naszej pracy na łamach pisma znakomicie ujednoliciliśmy metodę podejścia do zagadnień gospodarczych Polski i postawę zajmowaną wobec pewnych centralnych spraw. Czytelnicy nasi przyznają niewątpliwie, że w ocenianiu poszczególnych zagadnień nie wychodzimy z gotowej doktryny, że doktryna taka nie zasłania nam miejsca i warunków, czasu, w którym rozwija się życie gospodarcze Polski. Z drugiej strony sądzimy, że udaje nam się unikać rozważania zagadnień gospodarczych jedynie jako zagadnień doraźnych, że przy rozważaniu spraw konkretnych i dzisiejszych nie zapominamy o zagadnieniach „długiej fali". O naszej metodzie ujmowania zagadnień mówiliśmy zresztą już przed rokiem, teraz natomiast chcielibyśmy uwypuklić inny moment, który w naszem rozumieniu stanowić będzie dalszy krok naprzód, i który stanowi przedmiot naszych najbliższych ambicyj Użyliśmy już wyżej słowa „wspólna postawa". O nią nam właśnie chodzi. Termin jest mętny i nieścisły, innym jednak być nie może. Chodzi o pewien zespół najogólniejszych założeń, a nawet pewien zespół emocjonalnych skłonności, stanowiących łącznie podstawę hierarchji celów działania gospodarczego w Polsce, na której z kolei możnaby budować program polityki gospodarczej Polski.

Sądzimy, że główną trudnością ustalenia programu gospodarczej polityki Polski, takiego programu, który jednocześnie byłby gospodarczo możliwy do zrealizowania, a społecznie posiadałby szanse przyjęcia przez opinję, jest zasadnicza sprzeczność pomiędzy warunkami gospodarczemi, w jakich znajduje się naród polski, a słusznemi aspiracjami tego narodu. Mówiąc jaśniej, naród zamieszkujący kraj bynajmniej nie uprzywilejowany pod względem bogactw naturalnych, naród, posiadający po zaborcach dziedzictwo ekonomiczne nie do pozazdroszczenia, ubogi w kapitały, bogaty — nadmiernie — w ręce robocze, nie znajdujące zatrudnienia, spóźniony w wyścigu industrjalizacji, ma, mimo wszystko, i mieć musi ambicje mocarstwowe. Ma — siłą tradycji, siłą wartości kulturalnych, jakie reprezentuje, siłą charakteru narodowego. Mieć musi, z racji swego położenia geograficznego i z racji układu stosunków demograficznych. Naród, którego dochód na głowę jest niższy, niż w Rumunji, rości sobie i rościć będzie pretensje nietylko do samodzielności gospodarczej, ale i do takiej pozycji międzynarodowej, która gwarantowałaby mu niepodległość. Aut Caesar aut nihil. Ten dramatyczny dylemat naszego bytu państwowego ciąży i ciążyć musi nad naszą polityką gospodarczą, podczas kiedy z drugiej strony, gdzie jak gdzie, ale w sprawach gospodarczych mierzenie sił na zamiary nie powinnoby mieć miejsca.

Może jesteśmy niesprawiedliwi. Wydaje się nam jednak, że u kolebki prób tworzenia programu polityki gospodarczej Polski, u kolebki praktycznych posunięć polityki gospodarczej brakowało zazwyczaj bądź świadomości nędzy polskiej, bądź świadomości polskiej ambicji. Świetni ekonomiści szkoły liberalnej zdają się nieraz zapominać o nieuniknionej konieczności rewidowania normalnej hierarchji celów gospodarczych pod kątem wymagań, jakie narzuca wyjątkowa sytuacja geo - polityczna Polski. Na drugim biegunie staną ci, którzy zdają się zapominać, że procesy gospodarcze można podporządkować celom pozagospodarczym tylko do pewnych granic. To co nas łączy, grupę Gospodarki Narodowej, to dążenie do pełnego, równoważnego uwzględnienia obu naczelnych założeń. Byłoby przesadą, gdybyśmy to nasze dążenie motywowali świadomą chęcią znalezienia słusznych i popularnych haseł. Jest to poprostu kwestja pokolenia, pokolenia, na uformowaniu się którego polska rzeczywistość zaciążyła więcej, a obce szkoły ekonomiczne mniej, niż na pokoleniach poprzednich.

To jedno. Druga rzecz jest jeszcze prostsza. W kwestjach gospodarczych o doniosłem znaczeniu społecznem, w szczególności w kwestjach rozdziału dochodu społecznego, obciążeń społecznych i t. p., podobnie jak i w kwestjach ustroju gospodarcego zamieszczaliśmy artykuły o bardzo nieraz rozbieżnych tendencjach. Czy tylko dlatego, że jesteśmy wolną trybuną? Po części tak, po części nie. Jest jeszcze inny moment, ważniejszy od wyznawanej przez nas wolności słowa. Jedni z nas są bardziej wrażliwi na krzywdę społeczną, inni mniej, ale dla nikogo z nas przy rozważaniu kwestji np. podziału

dochodu narodowego, moment czysto społeczny, moment pokrzywdzenia społecznego nie stanowi ultima ratio. Poza wszelkiem rozumowaniem ekonomicznem, poza wszelką doktryną polityki ekonomicznej ukrywają się mniej lub więcej wyraźne tendencje pozagospodarcze, pewien światopogląd polityczno - społeczny, czy przynajmniej ułamki tego światopoglądu. Wiele rzeczy różni nas między sobą i w tej dziedzinie, jedna jest wszakże powszechna, wspólna, jedna nas łączy. Na naczelnem miejscu skali wartości, tej skali, która decyduje o hierarchji celów gospodarczych, stawiamy wszyscy — naród. Nie dobrobyt indywidualny, nie rozwój gospodarki światowej, nie ludzkość czy klasę społeczną, a naród, jako pojęcie nadrzędne w stosunku do jednostki. Nie chcemy używać terminu „nacjonalizm gospodarczy" — z pojęciem tem łączy się w Polsce i nie w Polsce zbyt wiele przypadkowych skojarzeń. Używamy słowa naród, a nie państwo, nie zwężając jednak pojęcia narodu do grupy etnicznej.

Nie możemy w tem miejscu rozwijać tych zagadnień szerzej — powrócimy do nich w ciągu roku: bezpośrednio w artykułach programowych, pośrednio na każdej niemal szpalcie pisma, w każdym niemal artykule czy notatce. Tu dodamy jedno tylko. *Nową rację dalszego istnienia widzimy w rozbudowaniu, wyjaśnieniu i uzasadnieniu podanej wyżej formuły.* I dlatego też noworoczny numer nie jest dla nas zamknięciem dwu lat pracy, a otwarciem ...ilu?

TADEUSZ ŁYCHOWSKI

DŁUGI i KRYZYS

Wstrząs, wywołany niezapłaceniem przez Francję raty długu Stanom Zjednoczonym, posiada większe znaczenie, niż mu się teoretycznie przypisuje, albowiem staje się pierwszym ostrem starciem polityczno-gospodarczem, znamionującem końcową falę skutków depresji światowej.

Ktoś, kto miał sposobność obserwować wrażenie, wywołane w opinji publicznej na Zachodzie, sporami i rozwiązaniem konfliktu o zapłatę przez mocarstwa europejskie przypadającej dn. 15 grudnia 1932 r. raty długu ich wobec Stanów Zjednoczonych, musiał mimowoli zdumiewać się, jak mało wrażenia wywołała sprawa ta w Polsce. Powiadamy — mimowoli, bo po namyśle uprzytomnić sobie można było doskonale, dlaczego właśnie tak się stać musiało, dlaczego właśnie u nas skandal międzynarodowy, jaki wybuchł dookoła owych stu kilkudziesięciu miljonów dolarów, spowodował względnie małe zainteresowanie. Mówiąc brutalnie, przyzwyczajono się u nas do niepłacenia w stosunkach handlowych i osobistych tak dalece, iż fakt niezapłacenia raty długu przez państwo — długu, który, notabene, uważany jest za wygórowany, niesprawiedliwy i wyjątkowo ciężki do podźwignięcia, — nie mógł zbudzić sensacji. Inaczej na Zachodzie Europy, gdzie naogół jeszcze (chociaż już znacznie w mniejszym stopniu...) przyzwyczajenie do wypełniania swych zobowiąza finansowych trwa nadal, jako że, poprostu, istnieją jeszcze potemu możliwości fizyczne. Tam nad tą sprawą obradowano zarówno w parlamentach, jak w kawiarniach, jak na ulicy czy w salonach. Kwestje finansowe stały się odrazu niezwykle modne. I temu właśnie przypisać należy, iż pewnej nocy podekscytowany „od dołu" parlament francuski w proteście przeciwko niezaczepialnemu formalnie a niesprawiedliwemu niewątpliwie merytorycznie zobowiązaniu międzypaństwowemu, obalił rząd i jednym zamachem postawił sprawę międzynarodowych zobowiązań finansowych na ostrzu noża.

Fakt ten omówiony został zarówno w prasie jak i w niezliczonych komentarzach polityków i finansistów całego świata, z całego szeregu punktów widzenia. Ujmowano go od strony moralnej (zobowiązanie „an sich"...), politycznej (zrywanie umowy międzynarodowej przez państwo, które dotychczas stało na straży tych umów...), prawnej, finansowej, uczuciowej i sensacyjnej. Nas w tej chwili interesuje z nich jedna, a mianowicie strona ogólno - gospodarcza zagadnienia. Jakie, mianowicie, może mieć znaczenie fakt niezapłacenia przez Francję wbrew zobowiązaniom, na niej ciążącym, raty dłużniczej Waszyngtonowi — z punktu widzenia dalszego rozwoju depresji światowej, względnie — środków jej terapji?

Francja niewątpliwie zapłacić mogła. O tem nie wątpi, oczywiście, nikt. Jeśli Wielka Brytanja przy 144 miljonach funtów sterlingów złota w Bank of England mogła bez poważnego wstrząsu zapłacić przeszło 95 miljonów dolarów, to Francja przy przeszło 83 miljardach franków złota w Banque de France mogła niewątpliwie zapłacić... nieco więcej niż 19 miljonów dolarów. Nie chodziło więc o trudności rzeczowe, ale o zasadę. Dlatego też sprawa nabiera odrazu ogólnego znaczenia.

Dlaczego Francja nie zapłaciła? Gdybyśmy chcieli postawić syntezę stanowiska Izby Deputowanych w ową pamiętną noc z 13-ego na 14 grudnia 1932 r., to powiedziećby można, iż chodziło nietyle o sam

fakt płacenia czy niepłacenia ,ale o fakt nieustępliwości nielojalnego wierzyciela, który innych pozbawił swą interwencją korzystnego układu (plan Younga i konferencja lozańska), sam zaś nie ma zamiaru ustępować ze swego wierzycielskiego stanowiska. Decydujący poniekąd przełom w międzynarodowych stosunkach finansowych po wojnie dokonał się z motywów emocjonalnych... Jakże w tem świetle wygląda teorja o materjalistycznem pojmowaniu dziejów?...

Czemże jest odmowa Francji z punktu widzenia gospodarczego?

Jest ona, zdaniem naszem, niczem innem, jak tylko uwieńczeniem przełomu, jaki dokonał się ostatnio już nietylko w inflacyjnym kierunku gospodarstwa światowego, ale wprost w inflacyjnej psychice całego kulturalnego świata. Historję ostatnich lat dwudziestu podzielić można zgrubsza na trzy okresy: wielka wojna i bezpośrednie jej skutki (1914 — 1919), inflacyjny okres 1919 — 1929 i ostatnie trzy lata kryzysu. Trzeba było trzech lat, aby klęski gospodarcze, spadające jedna za drugą na cały świat, doprowadziły wreszcie do załamania się psychiki inflacyjnej w życiu gospodarczem mas całego świata cywilizowanego. Odmowa płacenia przez Francję kładzie kres wszystkim tym sztucznym wybujałościom, które zrodziły się po wojnie pod wpływem haseł pozagospodarczych: kontrybucja, okup, długi, zniszczenie kontrahenta i t. d. ,i t. d. I ironja dziejów sprawiła, że właśnie przez pozagospodarczy emocjonalny odruch powstała sytuacja, którą by napróżno próbowano w ciągu jeszcze długiego czasu tworzyć, opierając się na przesłankach traktatów, zobowiązań, badania zdolności płatniczej i t. d., i t. d.

Kończy się na świecie okres inflacji — i to kończy się wszędzie bez wyjątku. Już w lecie 1932 r. przypuszczano, że doszliśmy do „dna kryzysu", zważywszy, iż spadek cen światowych jakgdyby się zawahał i począł zamieniać się w oscylowanie koło pewnego poziomu. Indeks cen światowych (1913 = 100), wynoszący w końcu 1931 r. 90.4. a dn. 8 lipca 1932 r. (minimalny) 82,9, podszedł powoli przez dwa miesiące do 86. Zdawało się, powiadamy, iż jest to już owo upragnione „dno". Tymczasem był to skok zupełnie odosobniony. Już dn. 28 października indeks obsunął się do 83, w końcu listopada do 82,8, a dn. 9 grudnia 1932 r. osiągnął 81,2. Ceny światowe spadają dalej.

Co jest jednak charakterystyczne, to kształtowanie się spadku tego w Europie i w Stanach Zjednoczonych. Z końcem 1931 r. indeks europejski stał na 85,4, podczas gdy w Stanach Zjednoczonych trzymał się jeszcze na 95,6. Ostatni bastjon inflacji światowej trzymał się jeszcze. Ale rozwój wypadków w 1932 r. poszedł naprzód z nieubłaganą logiką. Przy „dnie" z dn. 8 lipca 1932 r. indeks amerykański wynosił 85.5, europejski — 80,4. „Haussa" doprowadziła w dniu 9 września indeks amerykański do 90,7, europejski — zaledwie do 81,3. Ale zato ponowny spadek spychał indeks europejski kolejno do 79,2 (w końcu października), 78,9 (dn. 25 listopada) i wreszcie 78,3 (dn. 9 grudnia), podczas gdy indeks amerykański runął w tychże datach na 86,9 — 86.7 — 84,2. Rezultat: różnica pomiędzy obu indeksami, wynosząca jeszcze w końcu 1931 r. przeszło 10 punktów, spadła w grudniu 1932 r. do niecałych sześciu. A wszystko dlatego, że w ciągu trzech miesięcy (początek października — początek grudnia) indeks amerykański spadł o 6.5 punkta, podczas gdy europejski zepchnięty został zaledwie o 3 punkty. Poziom cen w Stanach Zjednoczonych zbliża się do poziomu cen w Europie.

Fakt ten bynajmniej nie jest czystą teorją. Posiada on wyraźne znaczenie praktyczne. Gdyby próby sztucznego animowania konjunktury dały w Stanach Zjednoczonych wyniki dodatnie, możnaby było jeszcze przez czas pewien (biorąc pod uwagę psychikę amerykańską...) twierdzić, iż polityka gospodarcza, prowadzona przez Stany Zjednoczone w czasie 10 lat powojennej inflacji była słuszna. Że — innemi słowy — słuszne i możliwe jest sztuczne odcięcie się organizmu gospodarczego Stanów Zjednoczonych od reszty świata, słuszną polityka nadprodukcji zbożowej, wywołująca światowy kryzys rolny, słuszna ekspansja przemysłowa z rozdętemi płacami robotniczemi, słuszne światowe monopole surowców, śrubujące ceny, i słuszny interwencjonizm, utrzymujący przez inflację kredytową i zakupy interwencyjne, ten stan chorobowy, w jakim dotychczas znajduje się największe mocarstwo świata.

Ta polityka zbankrutowała już ostatecznie Stały i szybki spadek cen w Stanach przypieczętowuje jej kres. Kończy się mit, przenikający w ciągu ostatnich lat piętnastu psychikę każdego amerykanina, o nadprzyrodzonych warunkach „prosperity" dla ludności Stanów — w przeciwieństwie do reszty świata. Ale, rzecz prosta, tego rodzaju psychozy nie ustępują tak łatwo. Zwłaszcza, że mają poza sobą uzasadnienie gospodarcze ośmiu lat „prosperity" — i bezradność w tragizmie sytuacji chwili bieżącej.

Mówi się od kilku tygodni bardzo dużo w Europie o przyczynach owej przedziwnej nieustępliwości Stanów, jeśli chodzi o finansowe zobowiązania wojenne, co do których niema dwuch zdań, iż są niesprawiedliwe „ex origine", obliczone zbyt wysoko i niemożliwie fizycznie do podźwignięcia. Jako główny argument, tłomaczący (nie — usprawiedliwiający...) politykę Waszyngtonu wymienia się obok psychozy powszechnej, o której wspomnieliśmy powyżej, jeszcze kwestję zadłużenia elementu farmerskiego w Stanach Zjednoczonych. Zadłużenie to jest, istotnie, olbrzymie. Albowiem opinja publiczna Europy, zwłaszcza wschodniej i środkowej jej połaci, przyzwyczajona jest do zadłużenia rolnictwa aż nadto dobrze, aby dziwić się temu zjawisku za oceanem. Gorzej jest jednak z tem, iż pomiędzy produkcją rolną Stanów i produkcją rolną Europy istnieje jedna olbrzymia różnica, zmieniająca zupełnie całą postać rzeczy: farmer w Stanach nie jest jak rolnik europejski samowystarczalny pod względem środków żywności, nie „przetrwa" niskich cen i ciężaru długów, przeżywiając się z biedą, jak u nas czy nad Dunajem. Racjonalizacja rolnictwa w Stanach Zjednoczonych uczyniła zeń specjalistę, hodowcę jednego produktu tylko — pszenicy, kukurydzy, bawełny i t. d. Faktem jest, iż w najbardziej urodzajnych stanach farmer, produkujący pszenicę, kupuje w mieście... konserwy mięsne dla konsumcji osobistej. Jakże tu przetrwać? Jak poprowadzić po-

litykę rządu? Czem ulżyć? A przedewszystkiem — jak ulżyć przy takim stanie rzeczy dłużnikom europejskim?...

Stany Zjednoczone weszły już dawno w kryzys, przewyższający naogół ogromem każdy kryzys europejski. Ale tragizm polega na tem, iż dla nich jest to dopiero początkiem. Oscylacja w dół od poziomu będzie równa oscylacji w górę. Deflacja musi osiągnąć w przybliżeniu przynajmniej rozmiary ruchu inflacyjnego z lat 1924 — 1929. I wówczas to dopiero dokona się ta przemiana psychiczna za oceanem, od której zależy w gruncie rzeczy cały dalszy rozwój kryzysu światowego.

Jakkolwiek bowiem tłomaczyćby nieunikniony nawrót linji konjunkturalnej działaniem automatyzmu procesów gospodarczych, faktem jest, iż bez koordynacji wysiłków polityki gospodarczej w państwach całego świata depresja nie zostanie przełamana. Zbyt wiele posunięć interwencyjnych zaważyło na „wysokiej konjunkturze“ lat powojennych, aby obecnie, kiedy interwencjonizm szuka chwilowo dróg indywidualnego ratunku, pogarszając przez to jeszcze sytuację ogólną, oczekiwać nawrotu konjunktury bez specjalnych potemu zarządzeń. Ale zarządzenia te iść muszą właśnie w przeciwnym kierunku niż dotychczasowy interwencjonizm w międzynarodowej polityce gospodarczej i finansowej, muszą stać się początkiem usuwania sztucznych przerostów, początkiem powrotu do warunków mniej więcej normalnych. Taki przełom musi być wywołany z konieczności nie powolnem drążeniem skały ale nagłym wybuchem. Byliśmy świadkami tego wybuchu dwa tygodnie temu, kiedy bogaty dłużnik oświadczył wierzycielowi: nie płacę...

JÓZEF PONIATOWSKI

ANACHRONIZM PROFESORA TENNENBAUMA

W dobie powszechnego wznoszenia pałaców z kart, zakładanie fundamentów pod trwałe budowle jest anachronizmem, który oby znalazł naśladowców.

Kinematograf lepiej odpowiada psychice dzisiejszego życia niż teatr. pogadanka radjowa — niż odczyt naukowy, dziennik — niż kwartalnik. Życie stało się nieporównanie bliższe filmu niż klasycznego dramatu. Najistotniejszą różnicę między metodą Sofoklesa i metodą autora filmowego widzę w tem, że pierwszy odrzucił wszystko, co nie jest niezbędne dla oddania samej treści wiecznej, ogólno - ludzkiej tragedji, drugi wyzyskuje bogaty arsenał środków technicznych, by u współczesnego widza wywołać maksymalny efekt psychiczny, wiedząc, że za lat kilkanaście technika i gusta publiczności tak się zmienią, że jego dzieło straci wartość. Działając na efekt doraźny, rezygnując z trwałych wartości, autor scenarjusza, dziennikarz, czy prelegent radjowy mogą sobie pozwolić na powierzchowność, a nawet konieczność pośpiechu uniemożliwia im zazwyczaj pogłębienie tematu.

Pośpiech, niedojrzałość, powierzchowność, stanowią znamię epoki także w dziedzinie gospodarstwa i polityki. Solidna kalkulacja na długą metę jest wypierana przez spekulację na zysk doraźny, lub doraźny efekt. Odległe cele, dobro przyszłych pokoleń, przestają oddziaływać emocjonalnie. Coraz mniej zato razi dysponent, który prowadzi ze szkodą przedsiębiorstwa politykę doraźnego zysku, by korzystnie odprzedać własny pakiet akcyj, jak i minister, który dla pomyślnego wyniku konferencji naraża bezpieczeństwo swego kraju. Podpis na wekslu i na zobowiązaniu międzypaństwowem traci walor.

Tradycyjna ciągłość życia gospodarczego i politycznego może osłabić ujemne skutki mody doraźności i działania na efekt, ponieważ siłą inercji życie posuwa się po dawniej wytkniętych linjach rozwojowych. W krajach, jak Polska, gdzie stosunki gospodarcze i polityczne uległy radykalnym przeobrażeniom, utrzymanie ciągłości i konsekwencji w postępowaniu zarówno ciał publicznych, jak jednostek nie dadzą się z powyższą modą pogodzić. Sprzeczne z duchem czasu przełamanie obojętności społeczeństwa dla celów trwalszych staje się wręcz warunkiem bytu. Zadanie to bardzo trudne, skoro właśnie wielkie przemiany stawiają dysponenta gospodarczego, jak i polityka przed mnogością zadań doraźnych, którym sprostać musi. Nadto brak u nas licznej kadry ludzi doskonale obznajmionych z mechanizmem zjawisk, na które mają wpływać, a zwiększenie tej kadry napotyka poważne przeszkody. Jedną z nich jest brak odpowiedniej literatury.

Nabywanie znajomości obszernych dziedzin życia drogą własnego tylko doświadczenia i obserwacji jest powolne i kosztowne; przedwojenne piśmiennictwo ma wartość dla zrozumienia dynamiki procesów ewolucji gospodarczej, ale nie zapoznaje z dzisiejszą strukturą gospodarczą Polski, jak nie zapoznaje z nią i powojenna literatura obca. Polscy zaś pisarze ekonomiczni lat ostatnich o ile nawet poza publicystyką starają się o trwalszy dorobek, poświęcają się z nielicznemi wyjątkami bądź teorji bądź tłumaczeniu zjawisk konjunkturalnych i przypadkowych. Przyczynki i monografje powstają niedość licznie i zostają niewyzyskane i nieczytane. Pewien wyjątek stanowi zespół prac Komisji Ankietowej, na którym jednak pośpiech wycisnął bolesne piętno, „Dysproporcje“ min. Kwiatkowskiego i bardzo niewiele więcej. To też można się spierać czy ludzi, gruntownie znających strukturę choćby samego przemysłu polskiego można policzyć na pal-

cach jednej ręki, czy trzebaby do tego użyć obu rąk, ale niepodobna zaprzeczyć, że znajomość struktury gospodarczej własnego kraju jest u nas zastraszająco mała. Nadto ci, którzy właśnie tę znajomość posiadają, nie kwapią się bynajmniej do jej rozpowszechniania, widząc raczej swój interes w monopolicznem eksploatowaniu nabytej wiedzy. W tych warunkach pojawienie się poważnej pracy syntetycznej o strukturze gospodarczej można było uważać za wręcz nieprawdopodobne. Anachronistą, który wbrew duchowi czasu dokonał tego dzieła, jest profesor Henryk Tennenbaum i wydaje się, że on tylko jeden mógł je podjąć. Tom pierwszy „Struktury Gospodarstwa Polskiego", obejmujący formy produkcji i zbytu[1]), ukazał się w czasie, gdy gwałtowność kryzysu szczególnie zwiększa zainteresowanie chwilą bieżącą, ale równocześnie trwałość kryzysu podkreśla jałowość poczynań światowej polityki gospodarczej, nie opartych o dokładną znajomość struktury gospodarczej. Tomu drugiego, który ma objąć finanse i kredyt niecierpliwie oczekujemy.

Byłoby zbyteczne zatrzymywanie się nad ogromem wiedzy Autora, oryginalnością jego sądów, odwagą w ich wypowiadaniu, swadą pisarską, dobitnością sformułowań, te bowiem cechy znane są czytelnikom prac dawniejszych. Nie zamierzam również pisać recenzji sensu stricto, raz dlatego, że „Gospodarka" nie posiada działu recenzyj, powtóre, że nie potrafiłbym zreferować choćby najważniejszych tylko poglądów omawianego dzieła na paru szpaltach. Chcę się tylko podzielić impresjami przy czytaniu książki, którą uważam za wydarzenie o doniosłości nietylko teoretycznej, ale i praktycznej.

W czem widzę tę doniosłość — napisałem już wyżej. Książka prof. Tennenbauma nietylko podaje mnóstwo mało znanego materjału faktycznego, zwiększającego sumę wiadomości czytelnika, ale nadto porządkuje jego wiadomości i, co najważniejsze, zmusza do myślenia, do dalszego szukania rozwiązań tych zagadnień, których Autor nie wyczerpał, albo które zaledwie poruszył. Doszukiwanie się w pozornie chaotycznych enuncjacjach, opinjach i zarządzeniach wspólnej treści filozoficzno - gospodarczej, sięganie do najgłębszych motywów procesów gospodarczych, przy braku jakiegokolwiek teoretyzowania i choćby doktrynerstwa, musi wywrzeć dodatni wpływ wychowaczy. Ponadto wielka część wniosków prof. Tennenbauma posiada zupełnie aktualne znaczenie dla odnośnych gałęzi polityki gospodarczej i zasługuje, jeśli niezawsze na natychmiastową realizację, to na szczegółowe rozważenie i konfrontację z założeniami polityki dzisiejszej. Dla właściwego wyzyskania dorobku prof. Tennenbauma powinna się rozwinąć na tle jego książki obszerna wymiana myśli, którąby spopularyzowała jedne poglądy, rozwinęła, a czasem i sprostowała inne. Znając stosunki polskie, nie mam pewności, czy będziemy świadkami takiej dyskusji, chociaż wartość sposobu rozumowania Autora, jako energicznego zaczynu myślowego, jest pierwszorzędna.

Zamiast tradycyjnego podziału podręczników opisowych, polegającego na wyliczeniu gałęzi produkcji według charakteru procesów wytwórczych (rolnictwo, górnictwo, przemysł przetwórczy, rzemiosło), potem wymiana, komunikacja, finanse i t. d. stosuje prof. Tennenbaum interesujący podział treści według „zespołów strukturalnych", zależnych od charakteru przedsiębiorstw i ośrodków dyspozycji, tworząc pięć grup: 1) grupa użyteczności publicznej, 2) grupa spożycia skoncentrowanego i przymusowego, 3) grupa merkantylistyczna, 4) przedsiębiorstwa uprzywilejowane, 5) grupa wolnokapitalistyczna. Zaletę tego podziału widzę w nakierowywaniu uwagi na te zjawiska, które Autor chce uwydatnić, wadę — w trudności określenia kryterjów podziałowych, a stąd niejasności i płynności podziału. Stąd wynika zastrzeżenie na str. 617, że „Poszczególne gałęzie należą często jednocześnie do dwóch formacyj"..., a także fakt, że niektóre inne gałęzie niebardzo pasują do którejkolwiek formacji. Mam tu na myśli zwłaszcza „kartele dobrowolne, mające warunki do skutecznego osiągnięcia stawianych sobie zadań".

Poszczególne „zespoły strukturalne", jak i poszczególne zagadnienia, zostały potraktowane nader nierównomiernie, tak pod względem ilościowym jak i jakościowym. Niepodobna wymagać od Autora jednakowego stopnia przemyślenia całego obszaru życia gospodarczego. Najobszerniej, najsystematyczniej i bodaj, że najgłębiej, została ujęta grupa użyteczności publicznej, gdzie ponadto znajdujemy wiele problemów już obszernie omawianych w poprzednich pracach prof. Tennenbauma, dzięki czemu zyskujemy obraz pełny i wykończony. Autor posługuje się często wielokrotnem powtarzaniem jednej myśli w niewiele się różniącem sformułowaniu, dla jej podkreślenia, ale i samo sformułowanie jest przeważnie tak jędrne i dobitne, że zostawia nieprzemijające wrażenie. Zdolność syntetycznego wyrażania pogladów w postaci aforyzmów przejawiała sie i w „Skomercjalizowanej racji Stanu" i w „Ośrodkach Dyspozycji Gospodarczej", ale nigdzie się tak nie uwydatniła, jak w ostatniej pracy. To aforystyczne formułowanie treści możliwe tylko przy doskonałem jej przetrawieniu, jest również pożytecznym anachronizmem, kontrastującym z modną mglistością niedostatecznie przemyślanych koncepcyj dzisieszej publicystyki gospodarczej. Kapitalne zagadnienia, jak związek między ochroną od konkurencji i narzuceniem postulatów użyteczności publicznej, jak właściwe znaczenie „ceny opłacalnej", jak nierównomierność traktowania odbiorców, jak różnice charakteru karteli przymusowych i dobrowolnych, jak rzekoma ofiarność na ołtarzu bilansu handlowego, jak splatanie interesu prywatnego z misją publiczną („węzeł fałszywej gry"), jak konieczność przeciwstawności interesów, jak znaczenie własnego zapotrzebowania w koncernach pionowych i wiele, wiele innych, są zarysowane z tak krystaliczną wyrazistością, że dalsze wytwarzanie dokoła tych zagadnień „dymowych zasłon" będzie bardzo utrudnione.

Aforyzmy prof. Tenenbauma nierzadko mogłyby być z powodu śmiałości myśli uważane za paradoksy, gdyby nie były poprzedzone znakomitą i zwykle przekonywującą argumentacją. Zawsze uważałem

---

[1]) Henryk Tennenbaum: Struktura Gospodarstwa Polskiego. Tom. I. Formy Produkcji i Zbytu. Warszawa 1932. Str. 641.

za szkodliwe dążenie do stabilizacji cen niezależnie od konjunktury, ale wręcz za rewelację uważam następujący pogląd, wyrażony na str. 403 i dostatecznie uzasadniony: „Ideałem polityki karteli powinno być, aby wskaźnik cen towarów skartelizowanych w okresie dobrej konjunktury stał wyżej, aniżeli wskaźnik cen towarów nieskartelizowanych, a w okresie złej konjunktury stał niżej, aniżeli wskaźnik cen towarów nieskartelizowanych". Albo na str. 515.: „Zaległości i zaniedbania, deficyt obyczaju polityczno - gospodarczego, nadrabia się przez ustawianie nowoczesnych instalacyj i tworzenie organizacyj przemysłowo - handlowych (karteli) w wielkim przemyśle". Ponieważ: „Im kraj ma więcej zaległości historycznych i gospodarczych, tem łatwiej ulega on urokowi zbawczej doktryny techniczno-organizacyjnej." lub na str. 628: „wskazaliśmy, że polityka ceny skromnie opłacalnej w jednych grupach, doprowadza do wysunięcia postulatu minimalnej ceny licytacyjnej w kilku odłamach grupy wolnokapitalistycznej". I dalej: „...powstaje feodalna formacja ceny opłacalnej i formacja ceny licytacyjnej, do której należy również warstwa najemna". Prof. Tennenbaum jest zarówno w odniesieniu do polityki państwowej, jak do kierowników życia gospodarczego sędzią surowym i bezwzględnym. Stara się w każdem działaniu wyszukać „prawowite" motywy, podkreśla nawet wagę motywów pozagospodarczych, ale odchylenia od ściśle logicznego wcielenia w życie tych lub innych motywów, piętnuje bezlitośnie, nie biorąc czasem pod uwagę istotnych „okoliczności łagodzących". Gdyby Autor w wyższym stopniu uwzględnił, co sam napisał na str. 620: „Być może, że niema probierza, przy którego pomocy można rozstrzygnąć, które są trafne, a które fałszywe.

O przyjęciu pewnych ocen decydują określone interesy, których rzecznikami są poszczególne grupy ludności", wówczas może byłby wyrozumialszy dla pewnych braków konsekwencji polityki gospodarczej, pozostającej pod naciskiem zmiennych interesów i zmiennego układu sił. Ponadto niektóre zarzuty wydają się niedostatecznie poparte argumentacją. Tak np. teza, że monopole państwowe winny się ograniczyć do roli „kupca", dyktującego swą wolę „fabrykantom", dzięki koncentracji zakupu, może być słuszna, krytyka przeceniania roli „fabrykanta" przez monopol tytoniowy jest dość przekonywująca, natomiast krytyka monopolu spirytusowego, jako „fabrykanta" w węższym zakresie, nie przekonywuje. „Piękno szkło, lak o pięciu kolorach, badanie substancyj smakowych i zapachowych w wódkach gatunkowych — to kosztuje!" woła Autor (str. 82), nie podając jednak kalkulacji stosunku tego kosztu do przypuszczalnego zwiększenia wpływów ze sprzedaży, wywołanego przez wymienione zabiegi. Tylko taka kalkulacja mogłaby pouczyć, czy „gra jest warta świeczki". Widzimy często, że prywatny kupiec żąda od fabrykanta kosztownego opakowania i uważa, że mu się to opłaca.

Podobnie, po bardzo słusznych i ważnych uwagach o potrzebie określenia motywów, któremi w danym czasie ma się kierować polityka gospodarcza, wydaje mi się niesłusznym zarzut postawiony na str. 216, dotyczący przeciwdziałania w swoim czasie Rządu usiłowaniom podniesienia ceny węgla, specjalnie poszukiwanego na rynku warszawskim „w okresie nadmiaru węgla i popierania przez państwo wysiłków kartelu, zmierzających do utrzymania na rynku wewnętrznym ceny minimalnej", skąd Autor wyciąga wniosek, że równocześnie stosowano sprzeczne motywy ceny minimalnej i maksymalnej. Należy przecież pamiętać, że, jak czytamy na str. 70: „Polityka gospodarcza często musi ustalać kompromisy między sprzecznemi motywami", a jeśli uznano pewną cenę za właściwy kompromis między motywem utrzymania opłacalności produkcji i dobrem konsumenta, to naruszenie tego kompromisu zarówno w jedną, jak w drugą stronę można uznać za niepożądane.

Jednostronne wydały mi się także zarzuty przeciw rozwojowi przemysłu azotowego.

To są drobiazgi. Z ważniejszych poglądów prof. Tennenbauma nie trafia mi do przekonania nieco jednostronne tłumaczenie przebiegu konjunkturalnego (str. 568 — 569), ujęcie roli spożycia własnego wsi dla rynku zbożowego (str. 601 — 602), projekty finansowo - rolne, zawarte na str. 608 — 610, wreszcie ironiczny i negatywny stosunek do postulatu „świętości kontraktu" (str. 612 i in.). Spornym wydaje mi się również kilkakrotnie podkreślany postulat reglamentowania kredytów krótkoterminowych. Są to zagadnienia zbyt obszerne, by je tu w paru zdaniach omawiać, zapewne wypadnie jeszcze do nich powrócić w przyszłości.

Pewną pretensję miałbym do Autora jedynie o to, że sam jakgdyby nie docenił wagi i powagi własnego dzieła. W najpoważniejszej pracy znajdzie się miejsce na dowcip i dowcip, polegający na żartobliwem uwydatnieniu pewnych sprzeczności, stanowi prawdziwą okrasę omawianej książki. Obok tego dyskretnego, chociaż czasem nader złośliwego dowcipu, znalazły się jednak w „Strukturze" i takie żarty, które mogłyby nie razić w artykule dziennikarskim, albo w „grotesce polityczno - gospodarczej"*), ale obniżają powagę podstawowego dzieła o strukturze gospodarczej Polski. W dodatku te właśnie złośliwości są najmniej przekonywujące, najsłabiej uzasadnione, czasem oparte na plotkach, lub subjektywnej ocenie (str. 329, 384, 449). Przez większą wstrzemięźliwość pod tym względem, jak również może i przez pominięcie tych drugorzędnych zagadnień, których Autor nie mógł pogłębić dla braku nienasuwających wątpliwości materjałów, wzrosłaby jednolitość dzieła, zostałoby ono mocniej odgrodzone od literatury typu publicystycznego, a przecież pozostałby imponujący ogrom treści, która sama przez się jest tak ciekawa, że nie potrzebuje wstawek dekoracyjnych.

Ostatnią pracę prof. Tennenbauma uważam bez przesady za najważniejszy dorobek polskiej powojennej literatury gospodarczej.

---

*) Henryk Tennenbaum: Skomercjalizowana Racja Stanu Groteska polityczno-gospodarcza na tle stosunków polskich Warszawa, 1927. Str. 95.

U W A G I

POLSKIE ŻYTO.

Od szeregu lat istnieje dość rozpowszechnione przekonanie, że trudności, z jakiemi walczyć musi na rynkach zagranicznych nasze zboże, nie wypływają z gorszej jego jakości, wynikającej z warunków produkcji, lecz że właściwą przyczyną niskiej marki naszego zboża zagranicą jest zła organizacja handlu. O tej organizacji handlu dużo się mówiło i pisało. Zarzucano kupcom zbożowym w Polsce brak patrjotyzmu, którego widomym znakiem miały być niskie ceny naszych zbóż zagranicą. Jednym z zasadniczych trzonów rozumowania zwolenników organizacji eksportu zbóż stało się przekonanie, że Polska zawsze powinna występować na rynkach zagranicznych w charakterze eksportera. Stąd potrzeba stałego aparatu państwowego, któryby regulował sprawę wywozu. Aparat taki według projektów wielokrotnie dyskutowanych, miał nietylko dbać o jakość wywożonego zboża, lecz miał również sprawić poprawę warunków eksportu, miał stworzyć ochronę naszych eksporterów przed wyzyskiem importerów zagranicznych. Wychodzac z tego założenia, „organizatorzy" eksportu zbożowego domagali się premij eksportowych, nietylko ze względu na konieczność podwyższenia cen wewnątrz kraju, lecz również dla zapewnienia nam trwałej ekspansji na rynkach zagranicznych. Wprowadzono nawet dla pewnych zbóż premje „organizacyjne".

Organizacja eksportu zbóż istnieje u nas już od paru lat. O „dzikim" wywozie przez czynniki „niepowołane" przy systemie premij zbożowych, wynoszących dla żyta obecnie 40% ad valorem nie może być nawet mowy. W wielu enuncjacjach na temat „zorganizowanego" eksportu zbóż podnoszono wielokrotnie, że wyższa cena, jaką osiągało żyto polskie w porównaniu z żytem sowieckiem w czasie kampanji 1930 r. i 1931 r., da się przypisać w głównej mierze organizacji eksportu, że nadwyżki, które osiągamy w ten sposób, pokryją koszty istnienia aparatu organizacyjnego, że w miarę lat, żyto polskie będzie coraz lepiej notowane w stosunku do żyta sowieckiego, czy krajów bałkańskich, jednem słowem, że z „Kopciuszka" wyzyskiwanego przez naszych kontrahentów zagranicznych, przekształcimy się w silnego partnera, sprzedającego towar o ustalonej marce.

Od paru lat eksportujemy stale żyto. Rynki zbytu pozostają naogół te same: Danja, Czechosłowacja, Holandja. Jeżeliby rzeczywiście „organizacja" eksportu miała wydać tak zbawienne rezultaty, jak oczekiwano, to należałoby przypuszczać, że poziom cen naszego żyta będzie w roku bieżącym stosunkowo jeszcze lepiej się przedstawiać, w porównaniu z żytem sowieckiem, niż to miało miejsce w 1930 roku.

Jednakże tak nie jest.

Najlepszym dowodem rzeczywistego stanu rzeczy mogą być notatki, jakie o polskiem życie umieszcza największe pismo zbożowe świata „Corn Trade News". W piśmie tem Polska, jako eksporter zboża jest rzadko wymieniana. Akurat jednak w ostatnich paru numerach znajdujemy wzmianki o tranzakcjach eksportowych polskiem zbożem. I tak np. w numerze 47 wydawnictwa tygodniowego z dnia 23 listopada b. r. czytamy:

„Eksport żyta w ostatnim tygodniu wynosił 127.000 qrtrs. Z tego Rosja dostarczyła 29.00 qrs., a Polska ponad 90.000 qrs."

a dalej:

Polskie żyto jest obecnie dużo tańsze od żyta z innych krajów". (Dosłownie: „Polish Rye is now by far the cheapest on the market").

Następną wzmiankę znajdujemy w numerze 50 z 14 grudnia b. r.:

„Eksport żyta w ostatnim tygodniu wyniósł ogółem 82.000 qrs., z tego Rosja dostarczyła 23.000 qrs, a Polska, Węgry etc. 57.000 qrs."

i potem:

„Polskie żyto jest notowane na rynkach holenderskich i belgijskich po niespotykanie niskich cenach, co jest możliwe jedynie przy istnieniu premij eksportowych". (Dosłownie: „Polish Rye is quoted on the Deutch and Belgian markets at unprecedentedly low prices, these being renderet possible by the export subsidy").

Tyle o naszej działalności eksportowej w zakresie zbóż na przestrzeni całego szeregu numerów. „Corn Trade News" jest pismem fachowem, pozbawionem jakichkolwiekbądź tendencyj politycznych, czy polityczno - gospodarczych. Jest to pismo angielskich kupców zbożowych bezpośrednio nie zainteresowanych w wysokim, czy niskim poziomie cen zbóż. Nie można więc je posądzać o chęć robienia jakichś specjalnie złośliwych komentarzy. Poprostu tak wygląda nasza „ekspansja" zbożowa.

Przy tem wszystkiem nie chodzi obecnie o wyciąganie takich czy innych wniosków do całej naszej polityki zbożowej, celowości premij zbożowych etc. Jest to bowiem zagadnienie dużo głębsze, które da się rozpatrywać jedynie pod kątem widzenia całokształtu sytuacji gospodarczej kraju. Krótkie te notatki w zagranicznem piśmie są jedynie dowodem, obalającym niepotrzebnie lansowaną „legendę", że przez właściwą organizację eksportu da się osiągnąć na rynkach zagranicznych dla naszego zboża lepsze ceny. Po „niespotykanie niskich cenach" może bowiem eksportować każdy najbardziej „dziki" eksporter. Nie potrzeba tu kosztownego aparatu organizacyjnego, nie potrzeba tu takich, czy innych „planów" działania. Wystarczy zwykła handlowa oferta. A Holandja i Belgja są wprawdzie dla naszego żyta „za morzem", ale nie tak znów daleko, aby nie mógł tam dotrzeć ze swem zbożem nawet „niezorganizowany" eksporter palski. Nie możemy się również skarżyć (jak to było przed rokiem i przed dwoma laty), że ceny żyta na rynkach importowych psuje nam obecnie Rosja, Niemcy, czy inne „niedobre" państwa przez swój dumping. Psujemy je sobie (i innym) sami. Nie chodzi tu znów o to, czy ściągamy przez to na siebie jakieś „odium". Chodzi tylko jeszcze o ten drobny szczegół, że wyższe ceny naszego żyta w zimie 1930 r. w stosunku do żyta

sowieckiego, poza różnicami jakości przypisać należy zapewne nietyle sprawnej organizacji naszego eksportera, co okoliczności, że w 1930 r. Sowiety stosowały dumping w zakresie żyta na wielką skalę, wskutek tego osiągały najniższe ceny. W roku bieżącym my jesteśmy (jak dotąd) głównym eksporterem „dumpingowym" żyta i dlatego nasze żyto jest najtańsze.

Przypuszczam, że należy tu się dopatrywać działania t. zw. „prawa popytu i podaży", które w pojęciu organizatorów eksportu zbożowego, działa tylko w wyjątkowych razach, a w większości wypadków „wisi" bezczynnie dzięki działaniu organizacji handlu zbożem.

Jeszcze jedno. Jesteśmy na podanych wyżej rynkach „wprowadzeni" już od paru lat. Jeżeli osiągamy za nasze żyto obecnie najniższe ceny, to jest to najlepszym dowodem, przemawiającym przeciwko teorji stałego „utrzymania się" na rynkach zagranicznych. Bo najniższe ceny możemy osiągać również, eksportując tylko sporadycznie. Jest rzeczą wątpliwą, czy byłyby one jeszcze niższe. A nawet, jeżeli tak, to wydaje się zupełnie niewątpliwem, że różnica nie byłaby tak wielka, by mogła pokryć koszty aparatu organizacyjnego.

Wyciągając znowu z lamusa niepotrzebnych dziś pewników ekonomicznych „prawo popytu i podaży", można nawet czynić przypuszczenia, że niezorganizowany eksport żyta, pozostający w rękach prywatnych eksporterów, kontraktujących niezależnie od siebie stosunkowo niewielkie partje towaru (które w sumie stanowićby mogły ilość równą wyeksportowanej obecnie), osiągnąłby być może lepsze ceny na rynkach zagranicznych, od otrzymywanych za wielkie transporty żyta, rzucane na rynki importowe przez eksport zorganizowany.

Kto chce, niech nie wierzy.

Bohdan Łaczkowski.

PAPIEROWE RĘCE.

„...Ubiegałem się o pracę w czasach największego dotychczas bezrobocia. Najdziwniejsze do przełknięcia to było tu szalone rozpowszechnienie żądań rekomendacji. Przy najlichszej pracy, nie wymagającej, zdawałoby się skądinąd żadnej odpowiedzialności, żądano prawie zawsze wykazania się jakąkolwiek rekomendacją. Nie mając żadnej, pokazywałem za jedyne polecenie dwie własne ręce. Wówczas to Jego Indywiduum (nieokreślonego pochodzenia) czuło się przeważnie ubliżone za tak grubą śmiałość pokazania obu rąk za jedyne polecenie. Po tem wszystkiem człowiek nabierał przekonania, że ostatecznie najbłahszą pracę wykonują nie ręce, lecz ich rekomendacja".

Gdyby wypadek, o którym pisze jeden z najbardziej rozgoryczonych bezrobotnych [1]), nie posiadał cech powszechności, nie wartoby się niem przejmować i zajmować. Niestety, opisane wyżej zjawisko ma w Polsce znaczne prawa obywatelstwa, tworząc część systemu pracy, będąc niejako we krwi nieomal wszystkich — wielkich i małych, publicznych i prywatnych — pracodawców

[1]) „Pamiętniki bezrobotnych" wyd. Instytut Gospodarstwa Społecznego. Pamiętnik Nr. 34, str. 344—345.

Omawiany tutaj problem posiada jakby dwa aspekty. Pierwszy z nich polega na — powiedzielibyśmy — histerji dyplomu. Świadectwo ukończenia uczelni wyższej lub conajmniej średniej gra ogromną rolę w społeczeństwie nietylko demokratycznem (przynajmniej za takie chce ono uchodzić), lecz również — i biednem. Bez tego świadectwa 90% posad publicznych i połowa prywatnych (biurowych) jest niedościgłem marzeniem dla kandydata na pracobiorcę. Nikt nie jest ciekaw, co on umie naprawdę, na czem się zna, jaką jest jego specjal- — natomiast wszyscy żądają dokumentu, papieru, martwego przedmiotu, który ma zastąpić *żywego człowieka*. W epoce naukowej organizacji pracy, w epoce, szczycącej się wprowadzeniem badań psychometrycznych i t. p., budowanie przedsiębiorstwa na kawałku papieru odpowiada raczej atmosferze ubiegłego stulecia, kiedy nie pytano, kim kto jest, lecz: kto go rodzi. Histerja dyplomu, którą jeszcze podsycają instytucje w rodzaju Stowarzyszenia Urzędników Państwowych z Wyższem Wykształceniem, chociaż w praktyce nie mają one poważniejszego znaczenia, odgrywając właściwie rolę klubów, utrudnia dopływ do instytucyj publicznych ludzi młodych, zdolnych, przedsiębiorczych, życiowo wyrobionych, praktyków, znających teren pracy, wiedzących o istnieniu „podszewki" zagadnienia i t. d. Dzięki temu powstała również tendencja powoływania na stanowiska, dajmy na to, techniczne — gospodarcze (np. budownictwo mieszkaniowe, polityka komunikacyjna, polityka robót publicznych) wyłącznie inżynierów o dość wąskim z konieczności zakresie wiedzy technicznej; analogicznie do niedawna starostą bywał wyłącznie prawnik, broń Boże, ekonomista, a cóż dopiero człowiek wogóle bez dyplomu, chociaż z głową na karku. Dzięki temu nastawieniu kancelistą zostanie prędzej dyplomant o niewyraźnym charakterze pisma, aniżeli piszący kaligraficznie wychowanek szkoły powszechnej. Zato, gdy się od kandydatki na „garkotłuka" zażąda świadectwa sztuki kulinarnej i t. p. arkanów wiedzy (tak jest!) z zakresu gospodarstwa domowego, społeczeństwo będzie równie zdziwione, i obrażone.

A teraz aspekt drugi, bardziej już zbliżony do kwestji, poruszonej przez naszego bezrobotnego. Rekomendacja — znowu papier, znowu *rzecz zamiast człowieka*. Tak samo, jak i przy dyplomie, chodzi tutaj o *formalność*, treść natomiast pozostaje na drugim planie. Rozumiem, że w czasach tak jaskrawej jak obecnie dysproporcji pomiędzy podażą a popytem na rynku pracy trzeba się uciekać do sposobów, powstrzymujących tę podaż. Nie rozumiem natomiast, dlaczego selekcję kandydatów do pracy należy opierać na fikcyjnej w gruncie rzeczy rekomendacji ze strony Bogu ducha winnych osób, nie znających się na danej dziedzinie pracy, a często nie mających wielkiego pojęcia o istotnych kwalifikacjach rekomendowanego; czyż nie należałoby wprost przeciwnie dopuszczać kandydatów w drodze inteligentnie pomyślanego konkursu, w którym objawiłby się niejeden talent z bożej łaski. Proszę sobie przypomnieć powieść Jack Londona „Dolina księżyca" i zastanowić się, czy w Polsce zastosowanoby metody, jakich używali farmerzy kalifornijscy

w stosunku do tamtejszych bezrobotnych. W Kalifornji człowiek zdolny do sadzenia kartofli, będzie sadził farmerowi kartofle, — w Polsce kazanoby mu przynieść dyplom z ukończenia S. G. G. W. i pięć listów polecających: od księdza, starosty, dyrektora banku, a w ostateczności od szofera lub służącej jednej z tych figur.

Długotrwały kryzys gospodarczy niszczy stopniowo przeżytki snobizmu w polskiem życiu społecznem i gospodarczem. A ponieważ i w lepszych konjunkturalnie czasach nie stać nas było na *luksus* posługiwania się papierowymi rękami, zamiast rękami żywych, zdolnych ludzi, więc tembardziej teraz nie możemy sobie pozwolić na podtrzymywanie kultu martwego papieru. Nie dyplom i nie rekomendacja, lecz walory osobiste: oto *podstawowe* kwalifikacje człowieka szukającego pracy. Dyplom i rekomendacja — owszem, ale jako dowód uzupełniający, pomocniczy, potwierdzający. I nic więcej!... *k. b.*

POCHWAŁA SAMOCHWALSTWA

Stanowczo coś się zmieniło w polskim charakterze narodowym. Dawna nasza szlachta lubiła i umiała się chwalić. Exemplum Zagłoba: jak on bajecznie umiał opowiadać o swoich przygodach, z których każda w jego ustach zamieniała się w niebywały sukces, a słuchacze wierzyli mu bez wszelkich wątpliwości. Metodę taką możnaby z powodzeniem zastosować w prasie gospodarczej, która jest zupełnie pozbawiona inwencji reklamowej.

Mamy naprzykład taki fakt: produkcja liczników elektrotechnicznych w Polsce wynosiła w 1929 roku 3000 sztuk, w 1930 — 10.500, 1931 — 43.000, a za 10 miesięcy 1932 roku — 56.000. Fakt ten Gazeta Polska podaje petitem w kilkowierszowej wzmiance kronikarskiej. A można przecież, jak robi się u naszych wschodnich sąsiadów, napisać o tem artykuł p. t. „Superamerykańskie tempo uprzemysłowienia Rzeczypospolitej", zamieścić przytem fotografję fabryki, osobno jednego licznika, z wyszczególnieniem jego zalet, kilku robotników przy warsztacie z napisem: „armja pracy Rzeczypospolitej zdobywa wyżyny techniczne", względnie „bije wszelkie rekordy w wyścigu pracy"; wszystko to byłoby w gruncie rzeczy prawdą, tylko niecałkowitą i przesadzoną. Gdybyśmy rozejrzeli się w naszej rzeczywistości, to faktów podobnych wyżej wzmiankowanemu znaleźlibyśmy więcej, ponieważ mamy nowe fabryki i nowe gałęzie przemysłu, które, zaczynając swoją produkcję od zera, wykazują, rzecz zrozumiała, imponujące tempo wzrostu, i których rozwój można przedstawić w procentach, zapomniawszy o podstawie wyjściowej, no i o innych gałęziach przemysłu.

Czytelnicy musieliby temu uwierzyć, gdyż fakty byłyby niezaprzeczalne, a wskutek tego nastrój kryzysowy uległby może załamaniu. Jest tylko w Polsce jedna bardzo poważna przeszkoda — mianowicie dowcip. Pytano by się wówczas powszechnie: dlaczego jest tak źle, skoro jest tak dobrze? Gdzieindziej taka przeszkoda niema żadnego znaczenia, albowiem autorowi ciętego dowcipu udowodnionoby w przyśpieszonem tempie, że jego dowcip jest nieprawidłowy metodologicznie, gdyż nie jest oparty na materjalistycznej dialektyce, niesłuszny teoretycznie, gdyż nie uwzględnia właściwości danego etapu rozwojowego, a politycznie jest kontrrewoulcyjny. W rezultacie zaś danoby niefortunnemu dowcipnisiowi możność zastosowania jego ciętości ścinaniu drzew w lasach za kręgiem polarnym.

Odkładając jednak żarty na stronę, musimy stwierdzić, że w sowieckich metodach ujmowania i przedstawiania opinji publicznej zjawisk gospodarczych zawarte jest zdrowe i twórcze jądro — kult dla pracy. Ponieważ środki propagandy są scentralizowane w ręku grupy rządzącej, to ta zdrowa zasada zostaje wypaczona przez tendencyjne wyolbrzymianie jednych, a pomniejszanie lub przemilczanie innych faktów. U nas zaś sytuacja tak wygląda, że przemilczane są pozytywne fakty, natomiast wyolbrzymiane ujemne. Panuje u nas jakieś niezrozumiałe lekceważenie wyników własnej pracy i przecenianie cudzej. Swoją lekceważymy do tego stopnia, że nic o niej nie wiemy. Przecież nawet w takich ciężkich czasach, jak obecne, coś się w Polsce robi i dlatego właśnie teraz należałoby pisać o faktach pozytywnych w sposób bardziej bijący w oczy, zamiast lubować się wyłącznie w roztaczaniu ponurych i przygnębiających obrazów kryzysu. Należałoby stworzyć reportaż gospodarczy, opisujący wyniki poszczególnych warsztatów pracy i napewno znalazłoby się dużo takich, które miałyby się czem pochwalić. Niewiadomo dlaczego bowiem mamy więcej zachwycać się Dnieprostrojem niż Mościcami. Wiem, że w tym wypadku zaraz się zjawi objekcja, o celowości ekonomicznej budowy Mościc, ale z tego punktu widzenia o Dnieprostroju lepiej wcale nie mówić. Ciekawa rzecz, że nie przyszło nam dotychczas do głowy podsumować to, cośmy zrobili. A gdybyśmy obliczyli, ile w Polsce od czasów niepodległości powstało nowych fabryk, nowych gałęzi produkcji i jaka jest wartość wyprodukowanych przez nie dóbr, to liczby te potrafiłyby zaimponować każdemu sceptykowi. Temat ten wystarczyłby do napisania grubego tomu, ilustrowanego fascynującemi fotografiami z najautentyczniejszej polskiej rzeczywistości. Siła propagandowa takiego dzieła byłaby dostatecznie wielka, żeby przejść do porządku dziennego nad wszelkiemi gorszemi i lepszemi dowcipami o „radosnej twórczości". Krytyka ekonomiczna analityczna oczywiście wykaże, że to i owo zostało źle skalkulowane, że tu i owdzie ma miejsce przeinwestowanie, że tu jest błąd i tam jest błąd. Ale krytyka ekonomiczna syntetyczna odpowie, że istota działalności ekonomicznej jest walka z przyrodą i że postęp techniczny, nowe budowle, nowe maszyny, nowe przetwory dostarczonych przez naturę tworzyw znamionują, iż w walce tej posuwamy się naprzód. I to jest decydujące. A najważniejsze, że można się zupełnie obejść bez blagi, którą się obecnie stosuje przy reklamowaniu naszych rzekomych wielkich bogactw naturalnych, nie rozumiejąc, że zestawienie wieści o naturalnych bogactwach z panującą nędzą, wystawia nam mało pochlebne świadectwo, podczas gdy prawda jest, że naturalnych bogactw nie posiadamy, że osiągnięte sukcesy zawdzięczamy tylko pracy w trudnych warunkach i że właśnie na tym fakcie, a nie żadnym innym możemy znaleźć tytuł do dumy i chwalenia się.

Z. S.

WIKTOR DĘBOWIECKI

ZMĘCZENIE

Obok czynników objektywnych, na kształtowanie się rzeczywistości gospodarczej wywierają wpływ nie dające się bliżej określić czynniki psychologiczne mas. Czynniki te współdziałają w procesach zmian konjunktury gospodarczej i wpływają na kształtowanie się struktury gospodarczej kraju. Najsilniejszym czynnikiem psychologicznym oddziaływującym obecnie na bieg spraw gospodarczych jest w naszej opinji publicznej czynnik zmęczenia.

Rola czynnika psychologicznego (z zakresu psychologji mas) w kształtowaniu się współczesnych nam zjawisk życia gospodarczego nie jest wprawdzie może jeszcze dostatecznie uznawana, lecz w każdym razie stanowi w okresie ostatnich lat kryzysowych objekt wielu dociekań. Właściwe ujęcie tej roli jest rzeczą niezmiernie trudną, być może że nie możliwą. Wchodzi tu bowiem w grę cały splot czynników t. zw. natury ludzkiej, od najbardziej prymitywnych do fantastycznie skomplikowanych, których oddziaływanie w masach wymyka się z zakresu możliwości jakiegokolwiekbądź ścisłego ujęcia. Jedyną busolą w tem „morzu namiętności" może być intuicja, która pozwala odczuć i zaklasyfikować pewne zjawiska, mogące stanowić podstawę dla dalszego rozumowania. Anteną chwytającą drgania fal, przebiegających przez żywe masy społeczeństw jest na przestrzeni większych odcinków czasu zwykle literatura, w zakresie zdarzeń codziennych — prasa. Tak się jednak prawie zawsze składa, że literatura daje odbicie epoki w tak syntetycznem ujęciu i w takiem pomięszaniu czynników indywidualnych ze zjawiskami psychologji mas, że wyodrębnienie tych zjawisk jest zwykle nie do przeprowadzenia. Prasa zaś, która z natury rzeczy powinna dawać możliwie wierne odbicie tej psychologji mas, zajmuje się głównie zagadnieniami peryferyjnemi, patologicznemi, które nie mogą dawać wiernego obrazu rzeczywistych nastrojów społeczeństwa. Jeżeli pojawiają się bowiem nawet jakieś notatki, które mają ilustrować nastroje mas w stosunku do zagadnień gospodarczych, to stanowią one zwykle swego rodzaju „kronikę wypadków". Do takiej kroniki wypadków zaliczyć bowiem należy wszelkie wiadomości o runie na ten czy ów bank, o baissie, czy haussie na giełdach itd. nie mówiąc już o tego rodzaju „kwiatkach" jak wiadomości o pozostawieniu gospodarstwa z napisem „gospodaruj Panie Boże", który to wypadek był chętnie komentowany jako skrajna ilustracja nastrojów nurtujących rolnictwo na tle sytuacji gospodarczej (a jest równie mało repezentatywny dla psychologji mas jak np. dla ogółu ludzi przeżywających zawody uczuciowe. jest mało „typowy" wyczyn owego oficera, który dla zadokumentowania nieszczęśliwej miłości odbył daleką i żmudną podróż, by się powiesić na krzyżu, na szczycie Giewontu).

Istnieje więc już nietylko brak naukowego ujęcia zjawisk z zakresu psychologji mas w dziedzinie faktów gospodarczych, lecz wielokrotnie brak jest nawet materjału, któryby mógł służyć za podstawę dla takich badań. Jak dotychczas czynnik psychologiczny uwzględniają w swych badaniach jedynie teoretycy konjunktury — całe jednak zagadnienie roli psychologji mas w kształtowaniu się struktury organizmów gospodarczych jest jak dotychczas niemal w zupełności zaniedbane.

A jednak oddziaływanie czynników psychologicznych jest i tutaj zupełnie niewątpliwe.

Wystarczy jako ilustracja tej tezy powierzchowna obserwacja przemian jakie zaszły w polskiej opinji publicznej w stosunku do najkapitalniejszych zagadnień gospodarczych w ciągu ostatnich lat paru. Gdy się czyta dzisiejsze enuncjacje kierowników naszego życia gospodarczego, gdy się porównywuje ich opinje z poglądami z przed lat paru, to widać jak olbrzymia ewolucja dokonała się na tej tak krótkiej przestrzeni czasu. Ci sami ludzie, którym niedawno obce były wszelkie zamiary stwarzania podstaw dla gospodarki planowej, którzy czynnie i skutecznie walczyli z etatyzmem, wydają się dziś nie widzieć nie rozumieć, że np. wprowadzanie zakazów przywozu na ¾ artykułów sprowadzanych do Polski, stwarzanie systemu kontyngentów prowadzi w prostej drodze do — monopolu handlu zagranicznego, że utrwalenie systemu interwencji zbożowej musi w konsekwencji skończyć się monopolem handlu zbożem, że sztywnienie coraz to nowszych gałęzi życia w ramach gospodarki kontrolowanej przez Państwo, doprowadzić musi do przejścia ze stanu dzisiejszej „bezplanowej gospodarki" do nieuniknionej konieczności stworzenia tej planowości. Nie chodzi mi przytem o ludzi kierujących polityką gospodarczą, czy biorących udział w charakterze t. zw. sfer urzędowych w jej kształtowaniu się. Lecz zadziwiająca jest zmiana nastrojów ludzi, których możnaby określić ogólnem mianem „opinji gospodarczej kraju". Czynniki polityki gospodarczej muszą bowiem się znajdować pod działaniem całego szeregu faktów, stwarzających konieczność działania. Fakty te w wielu wypadkach przychodzą z zewnątrz i często znajdujemy się w sytuacji wymagającej pewnego posunięcia z zakresu polityki gospodarczej tylko dla tego, że stosuje je u siebie ten czy ów (zresztą często zupełnie od nas różny strukturalnie) nasz sąsiad. Poza tem ludzie biorący odpowiedzialność za politykę gospodarczą Państwa, muszą z konieczności oceniać bieg wypadków pod kątem widzenia sprawowanych funkcji.

Opinja mas musi zaś stanowić żywy element, wypełniający koryta stworzone jej przez politykę gospodarczą, musi się w tych korytach poruszać, żyć, w jakimś kierunku płynąć. W przeciwnym bowiem razie, gdy opinja krzepnie, zastyga — koryta stają się coraz węższe, coraz ciaśniejsze — coraz mniej pozostaje swobody ruchów. Ten proces ostygnię-

cia, bezwładnego zakrzepnięcia opinji publicznej w sprawach gospodarczych obesrwujemy obecnie w Polsce.

Przyczyn składających się na ten stan rzeczy może być i jest wiele — lecz nie o przyczyny tu chodzi. Chodzi o to, że ten stan rzeczy jest faktem, faktem urastającym do znacznie większych rozmiarów niż kiedykolwiek w ciągu czternastu lat niepodległości. Będzie to już rzeczą przyszłego historyka zbadanie w jakim stopniu dzisiejsza rzeczywistość gospodarcza Polski kształtuje się jako rezultat pewnej konsekwentnej logiki faktów, a w jakiej mierze podlega przypadkowym wahaniom, wynikającym z bezwładu opinji publicznej. Obecnie bowiem w całym łańcuchu przyczyn i skutków trudno jest odnaleźć przyczyny pierwotne. Jedno wydaje się niewątpliwe: obecny stan apatji opinji publicznej w sprawach gospodarczych sprzyja niesłychanie wszelkim nowinkom, wszelkim próbom i eksperymentom. Ten stan rzeczy nie jest ani dobry, ani bezpieczny.

Jak wielki jest ciężar bezwładu opinji można się było przekonać z całego szeergu odczytów i przemówień w sprawach polityki gospodarczej, które miały miejsce w ciągu ostatnich kilku tygodni. Padały słowa i pomysły, których wygłaszanie uważanoby jeszcze niedawno za herezję, dyskutowanoby, zbijanoby je. Nie chodzi przytem o jakieś pomysły akcji doraźnych, będące rezultatem tego zapasu mądrości, które jednostkom i narodom daje kryzys gospodarczy. Zobojętnienie na poglądy w sprawach kryzysowych jest przy ich rozpowszechnieniu zrozumiałe. Wyraźnie niebezpiecznem jest jednak zobojętnienie w sprawach, dotyczących posunięć o znaczeniu długotrwałem, rozciągającem się na całe pokolenia.

Tłumaczenie tego stanu rzeczy nasuwa się samo przez się. Jesteśmy społeczeństwem nerwowem. Łatwo podlegamy nastrojom, łatwo się męczymy. Opinja publiczna jst zmęczona kryzysem, zmęczona wielką ilością pomysłów i programów gospodarczych, nieufna w stosunku do obietnic poprawy, znudzona występami zwiędłych i zgrywających się „primadonn"[1]).

Opinja publiczna jest zrezygnowana i zdecydowana na wszystko.

Okoliczność ta jest najważniejszym czynnikiem w kształtowaniu się naszej rzeczywistości gospodarczej w chwili obecnej. Jest to zarazem największe jej niebezpieczeństwo. Tak samo bowiem jak hasło: „Polska nierządem stoi" doprowadziło do osłabienia i zwiotczenia naszego ustroju państwowego w XVIII w., tak i hasło „niema opinji publicznej w sprawach gospodarczych", które wielokrotnie dziś rozbrzmiewa doprowadzić musi do marazmu myśli gospodarczej kraju, do zasklepienia się w utartych komunałach, do chińszczyzny. Nie chodzi o to, czy my obecnie idziemy w złym, czy w dobrym kierunku. Lecz odwiecznem prawem życia jest, iż wszystko to co ma wartość trwałą powstaje w walce, w ścieraniu się. Wszędzie tam, gdzie tej walki niema, rozwijają się przerosty, utrwala się przewaga form nad treścią. Zmęczenie naszej opinji publicznej tym przerostom sprzyja.

Nie możemy przytem zapominać, iż wieje ku nam wciąż silny wiatr od wschodu.

W tych warunkach koniecznością się staje systematyczna walka o — uaktywnienie naszej opinji w sprawach gospodarczych.

Hasło to już było nieraz rzucane. Brzmi ono dzisiaj jak oklepany frazes, bez właściwej treści. W rzeczywistości jest ono wciąż aktualne — i coraz bardziej aktualne.

---

[1]) Patrz artykuł p. Cz. Bobrowskiego p. t. „Kierownicy" — „Gosp. Nar." Nr. 22. 1932 r.

NOTATKI

„RYNEK WOJSKOWY" W POLSCE.

Z okazji omawiania naszej sytuacji polityczno - handlowej w związku z rokowaniami handlowemi, które prowadzi się na podstawie nowo ogłoszonej naszej taryfy celnej, mówi się częstokroć o naszych trudnościach w rokowaniach tych z uwagi na małą pojemność naszego rynku wewnętrznego dla towarów zagranicznych. Podnosi się — i słusznie — fakt, iż przeciętny nasz przywóz wynosi mniej więcej 2 zł. 20 gr. na głowę mieszkańca miesięcznie i że wobec tego atrakcyjność naszego rynku dla innych państw jest tak niewielka, iż utrudnia to nam w rezultacie osiągnięcie w tych państwach jakichkolwiek poważniejszych i trwalszych zdobyczy dla naszego wywozu. A przecież okazuje się, iż nawet ten niewielki przywóz, jaki w tej chwili w Polsce istnieje, nie jest w dostatecznej mierze wykorzystany dla popierania naszych konieczności eksportowych. Mamy na myśli wielki przywóz materjału wojennego, który prowadzony dotychczas autonomicznie przez władze wojskowe, wymyka się całkowicie z pod ogólno - gospodarczych założeń, na których opiera się nasza zagraniczna polityka handlowa.

Mało komu np. wiadomo, iż przywóz wojskowy stanowi w 1932 r. połowę, jeśli nie więcej, wartości całego naszego przywozu z Francji. Francuska statystyka handlu zagranicznego wykazuje za 9 miesięcy br. na 252 milj. fr. francuskiego wywozu do Polski 101 milj. fr. na pozycję okrętów wojennych, 21 milj. fr. na pozycję broni i amunicji i t. d., i t. d.

W innych krajach rozumie się sytuacja przedstawia się pod tym względem nie tak jaskrawo. Ale w każdym razie wiadomo przecież, iż sprowadzamy dla naszych potrzeb obronnych materjały wojenne i z Belgji i z Czechosłowacji a nawet z Anglji i Stanów Zjednoczonych. We wszystkich tych krajach panuje poważny kryzys przemysłowy. Nic łatwiejszego jak włączyć nasze zamówienia wojskowe do listy naszych ustępstw w wypadku rokowań o ułatwienia dla naszego wywozu do danego kraju. Rokuje się przecież już odawna w układach kontyngentowych o bawełnę za śliwki, czy o konie rzeźne za biżuterję sztuczną. Można zupełnie dobrze powiedzieć

w tenże sam sposób: za kontyngent — powiedzmy — na masło dajemy zamówienie na materjały wybuchowe... Targ będzie w tym wypadku takiż sam albo jeszcze dla nas korzystniejszy, bo przecież nie chodzi tu tylko o możność przywozu ale wprost o gotówkowe zamówienie.

Instytucje rządowe i samorządowe słusznie zupełnie ograniczyły niemal całkowicie swe zakupy zagraniczne. Ministerstwo Spraw Wojskowych obywa się w większości wypadków również bez pomocy przemysłu zagranicznego, kładąc zapewne szczególny nacisk na samowystarczalność Państwa w wypadku konfliktu zbrojnego. Niemniej jednak zrozumiałe jest, iż w wielu wypadkach musi ono dotychczas jeszcze korzystać z techniki zagranicznej. Należy to wykorzystać dla naszych potrzeb gospodarczych. Nie można bowiem z jednej strony niczego mieć przeciwko zasadzie kupowania rzeczy niezbędnych do obrony kraju zagranicą, ale z drugiej — jest to przecież taki sam przywóz jak każdy inny i winien zatem wejść w orbitę ogólnych potrzeb naszej polityki gospodarczej, a polityki handlowej w szczególności.

W związku z tem jeszcze nasuwa się jedna uwaga pod adresem Głównego Urzędu Statystycznego. Dlaczego w statystykach naszego obrotu zagranicznego nie figuruje pozycja okrętów? Przez opuszczanie jej wynikają sytuacje zupełnie paradoksalne. Np. przy badaniu omawianego powyżej bilansu naszych obrotów z Francją statystyka polska wykazuje bilans zrównoważony, podczas gdy statystyka francuska... saldo ujemne na rzecz Polski. Zazwyczaj jest odwrotnie. Każdy kraj wykazuje większą wartość przywozu zagranicznego niż to ma miejsce w rzeczywistości (doliczając cło i koszty transportu do ceny towarów zagranicznych). Przez opuszczanie pewnych pozycyj nasz Główny Urząd Statystyczny zaciemnia istotny stan rzeczy w naszych orbitach handlowych z zagranicą — i to jak się okazuje z tego, cośmy powiedzieli powyżej, w dziedzinie przywozu, na którą zwrócićby należało obecnie szczególnie baczną uwagę.

DOBRE CHĘCI.

Dla ekonomisty termin „zbędne pośrednictwo" jest dość niejasny. Trudno przecież ustalić, w jakim wypadku zredukowanie ilości ogniw pośredniczących w obrocie danym towarem może się odbyć bez szkody dla sprawności obrotu, a z istotną korzyścią dla dwóch końcowych ogniw łańcucha wymiany: producenta i konsumenta. Nie jest również łatwą i prostą dla ekonomisty kwestja podwyżki cen artykułów rolnych. W jaki sposób w kraju, posiadającym w szeregu artykułów rolnych nadwyżki eksportowe „oderwać" ceny tych artykułów od cen światowych. Bynajmniej nie łatwiej, jest ekonomistom znaleść rozwiązanie zagadnienia, jaką drogą poprawić położenie gospodarcze wielkiego rejonu, opierającego swą wytwórczość wyłącznie niemal na drzewie i płodach rolnych, rejonu mało uprzemysłowionego, nie posiadającego znaczniejszych centrów miejskich, niekorzystnie sytuowanego pod względem geograficznym odciętego od normalnych dróg komunikacyjnych i rynków zbytu.

Podczas kiedy ekonomiści bezpłodnie głowią się nad tymi problemami, zostały one rozwiązane w Wilnie. Zrozumienie niedoli rolnictwa, sprawiedliwa ocena naszego zacofanego handlu, istotną troską o los najnieszczęśliwszego najbardziej dotkniętego kryzysem województwa, znalazły podatny grunt w społeczeństwie i „czynnikach" wileńskich. Serce rozwiązało to, czego nie potrafił umysł.

Pomysł jest tak prosty, jak jajko Kolumba. Musimy się nim podzielić. Poprostu z dostaw wojskowych eliminuje się „pośrednika", t. zn. firmy handlowe, które dotychczas zajmowały się temi dostawami. Do przetargu wzywa się jedynie organizacje producentów rolnych, zakupy z wolnej ręki uskutecznia się tylko u tychże organizacyj. Założenie proste i zrozumiałe: podział marży kosztów „zbędnego" pośrednictwa pomiędzy producentem a odbiorcą, zwyżka cen dla rolników, oszczędności dla wojska Voilà — jak mawiają gwiazdy cyrkowe po wyjątkowo udanym numerze. A rezultat tego „dubleta". Jedno tylko może zdziwić, — że rezultat ten jest tak szybki. Już przy pierwszych przetargach ceny płacone przez intendenturę okazały się wyższe, a w kilka tygodni po tem ceny, płacone rolnikom okazały się niższe, niż poprzednio. Przyczyna. Tym razem jasna dla ekonomistów. Monopolizacja dostaw spowodowała zwyżkę cen, płaconych przez intendenturę. Monopol zakupu wystarczyłby sam przez się do wyjaśnienia spadku ceny, płaconej producentowi, dodajmy zaś do tego, że organizacje producentów, które podjęły się dostaw, nie posiadając własnej sieci skupu, zmuszone były tą sieć na gwałt stworzyć, uciekając się do pomocy... drobniejszych firm z pośród wyeliminowanych od dostaw, lub też do „substytucji" na swoje miejsce tychże firm prywatnych.

Zdaje się, że kosztowna operacja jest już dziś przez wszystkich, nie wyłączając organizacyj rolniczych na terenie Wileńszczyzny, należycie oceniona. Natomiast wydaje się nam, że w innych miastach i wsiach Polski (nie wyłączając stolicy), pokutują podobne, jeśli nie identyczne tendencje. Niekiedy tendencje te przybierają formę tem szkodliwszą, że mniej prymitywną, mniej naiwną, a tem samem bardziej uwodzicielską dla ludzi z dobremi chęciami. W związku z tem chcieliśmy przypomnieć znane przysłowie, że dobremi chęciami wybrukowane jest piekło. Najlepsze chęci nie są w stanie zmienić mechaniki procesów ekonomicznych.

c. k.

ANNO DOMINI 1928.

Przed czterema laty ukazała się nakładem Centralnego Związku Polskiego Przemysłu, Górnictwa, Handlu i Finansów („Lewiatana") niewielka broszura p. t. „Rozmowy Pana Premjera Kazimierza Bartla z Przemysłowcami". W broszurze tej obok przemówienia ówczesnego Premjera podane są przemówienia szeregu najwybitniejszych przedstawicieli przemysłu. Przemówienia te wygłaszane na konferencji w dniu 1 listopada 1928 r., po większej części poruszają zagadnienia aktualne wówczas, które dziś w większości wypadków zatraciły znamię aktualności. Niektóre z nich jednak zatrącają o rzeczy trwalsze — o poglądy ekonomiczne, które, pomimo

kryzysu, szalejącego od lat paru na całym świecie, nie tracą swej wartości.

Specjalnie charakterystyczne są poglądy, wygłaszane wówczas przez p. prezesa, A. Faltera, który w przemówieniu swem omawiał sprawę cen węgla. „Jest pewnikiem niezaprzeczalnym — czytamy w tem przemówieniu — że utrzymanie cen na niskim poziomie jest tylko do pewnego stopnia słusznem, *a zarazem błędnem, jeżeli w rozwoju cen rozmaitych produktów powstaje wielka dysproporcja*. Ceny węgla w złocie wynoszą w Polsce niespełna 110% cen przedwojennych, zaś ceny w złocie wszystkich ważniejszych artykułów w przecięciu przeszło 118%."

Czy w roku 1932, gdy ceny węgla stanowią 110% — ceny w 1928 r., a ceny wszystkich ważniejszych artykułów w przecięciu" — około 65% poziomu cen tych artykułów z 1928 r., p. prezes Falter nie uważałby za wskazane zabrać głos w dyskusji w sprawie t. zw. „sztywnych cen kartelowych". Czy w myśl wygłoszonego przezeń pewnika o szkodliwości dysproporcji cen, wobec oczywistej niemożliwości podniesienia ogólnego poziomu cen do wysokości ceny węgla, nie przychyliłby się do zdania, że należy cenę węgla obniżyć?

w. d.

BEZPŁATNE OGŁOSZENIE.

Ogłoszenia w „Gospodarce Narodowej" są zasadniczo płatne, jak w całej, zresztą, prasie. Tym razem robimy wyjątek, przedrukowując bezpłatnie i z własnej inicjatywy część ogłoszenia, zamieszczonego w „Gazecie Polskiej" z dn. 17 grudnia, przez p. Naczelnika Urzędu Skarbowego w Otwocku. Pominiemy wprawdzie dość istotne części ogłoszenia o licytacji, jak nazwisko dłużnika, datę i miejsce licytacji, sądzimy jednak, że samo zacytowanie części cen szacunkowych sprzedawanych przedmiotów wystarczy dla wykazania, że p. Naczelnik dobrze się wczuł w hasło obniżenia cen, że nawet postulatowi cen elastycznych i bardzo elastycznych podporządkował może niektóre inne postulaty polityki gospodarczej. Pomijając niektóre mniej ważne pozycje litanji, obejmującej bogaty i różnorodny asortyment, zacytujemy: garnitur mebli wyściełanych ze stolikiem mahoniowym 7 szt. — 50 zł.; biurko orzechowe 1 szt. — 20 zł.; toaletka orzechowa z lustrem—20 zł.; bieliźniarki z lustrami orzech. 2 szt. — 50 zł.; bibljoteka jesionowa 1 szt. — 15 zł.; szafki nocne z marmurami 2 szt. — 20 zł.; kredens dębowy, ciemny 4-rodrzwiowy 1 szt. — 15 zł.; stół bilardowy dębowy, stylowy 1 szt. — 10 zł.; serwis porcelanowy zdekompl. 100 szt. — 50 zł. A teraz jeszcze ciekawszy asortyment: krowy czarnograniaste 30 szt. — 1100 zł. (przeciętnie po 37 zł. sztuka); byk rozpłodowy 6-letni 1 szt. — 50 zł.; młocarnia, kompl. z traktorem Desinga (zapewne miało być Deeringa), 1 kompl. — 500 zł.; żniwiarki kompl. Deeringa 2 szt. — 100 zł.; wozy chłopskie 9 szt. — 300 zł.; konie robocze 5 — 16 lat 19 szt. — 500 zł. (przeciętnie po 26 zł. sztuka); okna inspektowe oszkl. 500 szt. — 500 zł.; siewnik f-my „Superior", 1 szt. — 30 zł.; pług do motoru, 1 szt. — 30 zł.; wiązałka Massey i Harris 1 szt. — 50 zł.; źrebaki kasztan. 3 -letnie 4 szt. — 80 zł.; wierzchówka kara, 6 lat, 1 szt. — 20 zł.; chomonta robocze, 21 szt. — 50 zł.; szkółka drzewek ogrodn., róże, jabłonki, grusze, czereśnie, około 10.000 szt. — 200 zł. (przeciętnie po 2 grosze!) i t. d.

Jak widać, mamy do czynienia z gospodarstwem kulturalnem, wszechstronnie rozwiniętem, położonem niedaleko Warszawy. Zapewne jego właściciel został uznany za płatnika, zalegającego z opłatą podatków „przez złośliwość". Przypuśćmy, że słusznie. Nie zmienia to faktu, że po gruntownem zniszczeniu wszystkich działów gospodarstwa w latach następnych nie zapłaci nic, choćby się najzupełniej wyzbył „złośliwości". Zapewne, prócz Skarbu Państwa ,ma on i innych wierzycieli. Po przejściu cyklonu licytacyjnego przez majątek dłużnika ich zabezpieczenie radykalnie się zmieni. Wreszcie produkcja warsztatu, posiadającego traktor, 2 żniwiarki, wiązałkę, oborę mleczną, duże szkółki, 500 okien inspektowych ma pewne znaczenie dla dochodu społecznego, daje też zatrudnienie i zarobek pewnej liczbie rodzin. Nie ulega wątpliwości, że tego rodzaju wyprzedaż „ruchomości", zupełnie zapominająca o instytucji prawnej „nieruchomości z przeznaczenia" odbierze tym rodzinom zarobek, czyniąc warsztat na długo nieproduktywnym. Przypuśćmy, że licytacja mogła nie dojść do skutku, że chodziło o zastraszenie dłużnika. Jednak ten złośliwy człowiek mógł i na to nie zareagować (od ogłoszenia do dnia licytacji miał 3 dni), a nadto ogłoszenie kosztuje, trudno zaś wymagać od całej prasy, by wzorem „Gospodarki Narodowej" bezpłatnie reklamowała zamierzenia p. Naczelnika Urzędu Skarbowego w Otwocku. Przyznajemy, że i „Gospodarka" zdobyła się na ten gest nie przez filantropję, lecz w obawie, czy taki pan Naczelnik jest w Polsce unikatem.

m. z.

IMPRESJE Z WYSTAWY.

Czy wystawa haftów ludowych może mieć znaczenie gospodarcze? Oczywiście — tak. Rozwój przemysłu ludowego nie zastąpi w zupełności braku dostatecznych warsztatów pracy przeludnionej wsi polskiej, ale może w pewnym stopniu, przynajmniej w pewnych okolicach, złagodzić ostrość objawów przeludnienia. Przemysł artystyczny ma przytem szanse trwalszego rozwoju, niż te działy produkcji ręcznej, które mogą być z łatwością zastąpione przez masową wytwórczość fabryczną. Rozwój przemysłu artystycznego na wsi zależy od tego, czy smak i pomysłowość naszego ludu wystarczają dla zapewnienia dostatecznego zapotrzebowania na wytwory tego przemysłu, a także od tego, czy organizacja zbytu pozwoli na taką politykę cen, przy której potencjalne zapotrzebowanie przekształci się w realny popyt.

Częściowej odpowiedzi na te pytania szukałem na grudniowej wystawie haftów ludowych, urządzonej w lokalu Tow. Popierania Przemysłu Ludowego. Wrażenie odniosłem naogół ujemne. Nie dlatego, że wystawa jest nader skromna pod względem rozmiarów i nie daje dostatecznie pełnego obrazu tego, co w wybranym zakresie wieś polska (i ruska) wytwarza. Nie dlatego również, aby wystawione hafty nie miały walorów artystycznych i nie mogły się podobać. Przeciwnie, wystawa jest jednem wię-

cej potwierdzeniem pewności, którą miał i przedtem każdy, kto się nieco po kraju włóczył, że ludność wielu okolic Polski posiada wybitny smak i pomysłowość, wytwarza rzeczy naprawdę piękne i oryginalne, nadto poszczególne okręgi mają zupełnie wyraźny i nie przeczący różnorodności motywów, własny, określony styl, co ma, jak wiadomo, poważne znaczenie dla zdobywania rynków zbytu, zwłaszcza zagranicą. Haft łowicki, czy buczacki, krakowski, czy poleski, to są określone pojęcia, dalekie wprawdzie od standartu, ułatwiające jednak porozumienie się sprzedawcy z nabywcą.

Powodem moich ujemnych wrażeń z wystawy haftów jest wykazanie dobitne zwiedzającym, że nie postąpiliśmy naprzód w zakresie czynnika najskuteczniej hamującego dotychczas rozwój przemysłu ludowego — organizacji zbytu. Podstawową cechą, kwalifikującą organizację zbytu, musi być jej *taniość*. Hafty ludowe w miejscach produkcji są naprawdę tanie i mogą być tanie, pozwalają bowiem wyzyskać nadmiar rąk roboczych nie znajdujących innego zatrudnienia. W tej taniej pracy, przy smaku artystycznym, leży, a raczej leżeć powinna, ich siła konkurencyjna. Tymczasem wystawa grudniowa była demonstracją *wysokich cen*. Aby się nie spotkać z zarzutem, że w stosunku do wytworów sztuki oznaczenie ceny musi być subjektywne, zaznaczam, że ceny te są horendalnie wysokie w stosunku do tego, co otrzymuje producent, a więc drogo się ceni nie twórczość artystyczną, tylko pośrednictwo. Tak np. piękne poduszki, zdobione haftem poleskim, kosztują na miejscu, już łącznie z kosztem organizacji zakupu, 5 — 6 zł. sztuka i gdyby w Warszawie można je było nabywać choćby po 7 — 8 zł., to zapewne znalazłyby obszerny rynek zbytu. Te same poduszki demonstrowano na wystawie po cenach — od 16 (wyraźnie szesnastu) zł. wzwyż. To się nazywa kalkulacja! Obserwowałem zwiedzających: prawie każdemu się podoba, a przecie nikt nie kupuje. Już dawno ludzie się dziwią, dlaczego piękne lniane tkaniny wileńskie można kupować tylko w Wilnie, w Warszawie bowiem kosztuje przynajmniej o 50% drożej. Ostatnia wystawa haftów zademonstrowała ceny o 100 — 200% wyższe od otrzymywanych przez producenta, ceny dla dzisiejszego inteligenta wprost prohibicyjne. Ciśnie się na usta termin: wystawa niedołęstwa. *j. p.*

DOUCE FRANCE.

„Ustawa z 19 — 22 lipca *1791 r.* upoważniła merów do określania ceny mięsa rzeźnickiego. Jednakowoż merowie z uwagi na przeszkody, jakie napotykają, i z powodu niedostatecznego materjału informacyjnego, bardzo rzadko korzystają z tego uprawnienia... „Ponieważ interwencja prefektów w razie bezczynności merów byłaby nader usprawiedliwiona i mogłaby być pożyteczna, należy wypełnić lukę, istniejącą w naszem prawodawstwie...", a zatem „w gminach, gdzie merowie nie skorzystają z uprawnień, nadanych im przez ustawę z 19 — 22 lipca 1791 r., prawo określania ceny mięsa może być wykonywane przez prefektów (art. 1)".

„Ustawa z 31 sierpnia 1924 r. upoważniła prefektów do ustalania cen maksymalnych chleba, gdy władze municypalne *nie* chcą tego przeprowadzić...".

„Rząd zdaje sobie sprawę, że często trudno jest określać normalną cenę mięsa. W wielu miastach, a zwłaszcza w Paryżu, stwierdzono olbrzymią rozpiętość pomiędzy cenami w zależności od gatunku mięsa i nawet dla tego samego gatunku w zależności od poszczególnych kawałków mięsa, znajdujących się w sprzedaży..."

Przytoczyliśmy powyżej co ważniejsze ustępy z wniosku rządowego i jego uzasadnienia, mieszczące się w druku parlamentarnym Nr. 801, złożonym Izbie Deputowanych 15 listopada b. r. Przytoczyliśmy jako nowy dowód tendencyj *reglamentacyjnych*, ogarniających nawet tak dalekie od interwencjonizmu kraje, jak Francja, a także jako wyraz metod, któremi posługują się rządy w „zwalczaniu" kryzysu gospodarczego, mimo „przeszkód, jakie na swej drodze napotykała dotychczasowa tych metod realizacja (wielka szkoda, że uzasadnienie przemilcza dyskretnie te „przeszkody"). Jeśli chodzi o stosunki francuskie, jeszcze jedna rzecz jest nader charakterystyczna, a dla polskich stosunków w swej istocie nie spotykana. Określa ją najlepiej uzasadnienie, w którem m. in. czytamy: „Projektowana ustawa nie stwarza nowej zasady określania cen. Ogranicza się ona do wprowadzenia pewnych zmian w zastosowaniu zasady, mieszczącej się w naszem prawodawstwie *od czasów rewolucji...*" Zasada szczegółowa czynnej *polityki gospodarczej*, żyjąca (w ukryciu) 141 lat: oto zjawisko, które nam, młodym, może zaimponować.

z. i.

NIEBIESKA WSTĘGA OCEANU.

25 lat temu angielski okręt transatlantycki, „Mauretania" (30.000 tonn pojemności, siła motoru 40.000 HP), zdobył „niebieską wstęgę oceanu", przebywając w ciągu 5 dni przestrzeń, dzielącą Southampton od Nowego Yorku. Szybkość, jaką rozwijał ten morski kolos, była wprost zawrotna: 25 węzłów na godzinę!

W 1930 r. stocznie niemieckie spuszczają na wodę „Bremen": pojemność 55.000 tonn, siła motorów 80.000 HP., szybkość — 26,5 węzła na godzinę. Prosimy zwrócić uwagę: dla uzyskania szybkości, większej od poprzedniej zaledwie o 1½ węzła, i dla poruszenia masy, nawet nie o połowę większej, aniżeli ta, jaką posiadała „Mauretania", siła motoryczna musiała być *zdwojona*.

29 października b. r. stocznie francuskie w Saint-Nazaire przeżywają dzień tryumfu, spuszczając na wodę „Normandję", statek - olbrzym, który najdalej za 2 lata pokusi się o zdobycie dla Francji „niebieskiej wstęgi oceanu". Olbrzym ten pojemności 75.000 tonn, będzie pruł fale z szybkością 27,5 węzła, a jak konstruktorzy twierdzą, nawet 28 węzłów na godzinę. Nowe 1½ węzła przybędzie dzięki *zdublowaniu* (w stosunku do „Bremen") siły motorów. Jeżeli w tym tempie pójdzie „rozbudowa" kolosów, służących nietylko do przewozu luksusowej publiczności, lecz również do zaspokojenia prestiżowych ambicyj wielkich mocarstw Zachodu, to za kilka lat powstanie „super - Normandja" o wyporności 100.000 tonn, pędzona siłą 320.000 HP, które jej umożliwią zyskać jeszcze jeden węzeł na godzinę więcej. A za lat, powiedzmy, 20-cia „błękitna wstęga

oceanu" przypadnie okrętowi, pojemności 150, a może i 200.000 tonn, gdzie maszyny, reprezentujące 640.000 HP, wytworzą szybkość 30 węzłów. I tak dalej, i tak dalej....

W międzyczasie nastąpi chyba jednak otrzeźwienie. Przecież każdy z rejsów, odbywanych przez „Normandję" (a ma ich być 27 w ciągu roku), zamknie się — jak twierdzą znawcy — deficytem w kwocie 2 — 3 miljonów franków. Czy to jednak powstrzyma przedsiębiorstwa budowy okrętów od nowych prób i wysiłków, majacych na celu wykazać, że wielkie czyny *techniki* ludzkiej, zarówno piramidy faraonów, katedry średniowiecza i pałace Wersalu, jak i „super - Normandje", obywają się doskonale bez *kalkulacji?*

Na jeden tylko fakt zwracamy uwagę: w tym samym tygodniu, kiedy w stoczniach Saint - Nazaire tłum wiwatował na cześć nowej rekordzistki, akcjonarjusze i wierzyciele „Compagnie Générale Transatlantique" doczekali się (zbieżność jest, oczywiście, przypadkowa) smutnego rozwiązania strony finansowej przedsiębiorstwa. Mianowicie został przyjęty plan sanacji finansów Kompanji, przewidujący, że część kapitału akcyjnego zostanie spisana na straty, reszta zaś będzie skonwertowana, podobnież, jak werzytelności, które nb. ulegną redukcji o 60%. Nowe, pochodzące z konwersji, obligi będą ograniczone w korzystaniu z przyszłych zysków, które i tak są pod znakiem zapytania.

Czy to nie doskonały przykład dla poparcia argumentów p. S. Meyera, zawartych w jego artykułach, pomieszczonych w „Gospodarce Narodowej"?...

Redaktor CZESŁAW BOBROWSKI — Sekretarz Redakcji: ZOFJA CIECHOMSKA

RĘKOPISÓW NADESŁANYCH REDAKCJA NIE ZWRACA.

REDAKTOR PRZYJMUJE WE WTORKI I PIĄTKI OD 17 DO 18.

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4. TELEFON 646-64. KONTO CZEKOWE P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE

Druk. „Nowogrodzka", Warszawa, Tarczyńska 4, tel. 680-20.